ISKIERKI Bydgoskie

PISEMKO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr 5 CZERWIEC-LIPIEC Rok 1945



Kim ja będę, gdy urosnę



Zbliża się koniec roku. Tysiące dziewcząt i chłopców wkrótce opuszcza ławy szkolne, by stanąć do pracy zawodowej. Jeszcze się uczą, jeszcze powiększają zasoby zdobytych wiadomości i nieraz jeszcze po odejściu ze szkoły będą przychodzili do niej wzbogacać swój umysł skarbami wiedzy, jednak najszczęśliwszy, beztroski okres życia mija dla nich bezpowrotnie. Dlatego coraz częściej zasępiają się roześmiane twarzyczki. Coraz częściej w młodych główkach zaczyna nurtować myśl wyboru jakiegoś zawodu. Każda chce sobie wybrać coś najlepszego.

W wolnej, demokratycznej ojczyźnie każdy ma do tego prawo. Teraz w wyborze zawodu nie ma żadnych przeszkód. Wszystko dla każdego jest dostępne. — Proszę pana — myśli sobie głośno niedowierzająca główka — czy to naprawdę ja mogę być tym, kim zechcę?

— Tak, tylko trzeba mocno chcieć i wytrwale dążyć. — Dobrze — zadecydowała już śmiało młoda główka, ale pogodne czoło znów spoważniało i zasępiło się, bo niedoświadczony rozumek nie wie, co dla niego jest najlepsze.

Otóż w tym jest cała trudność. Należy posłuchać dobrej rady ludzi doświadczonych, ale ostatecznego wyboru dokonać samemu zgodnie z prawdziwym swym zamiłowaniem i wykazanymi uzdolnieniami. Zanim dokonasz wyboru, posłuchaj, co ci opowiem i dobrze zastanów się nad tym. —

Kiedyś, bardzo dawno żyli ludzie pierwotni. Ich kultura stała na bardzo niskim poziomie. Człowiek pierwotny miał bardzo małe wymagania. Wszystko, co było mu potrzebne, robił sobie sam, byle jak, tak jak potrafił. Z biegiem czasu poziom kultury podnosił się. Wymagania ludzkie zwiększały się stopniowo. Wielu rzeczy człowiek nie mógł już zrobić sam dla siebie. Robił tylko to, co umiał zrobić najlepiej. Inni wykonywali to, czego on nie potrafił. Każdy coraz częściej potrzebował pomocy drugiego. Tak mijały setki i tysiące lat.

Dziś nikt nie może dać sobie rady sam bez pomocy innych ludzi. Obecnie podział pracy między ludźmi jest bardzo drobiazgowy, a liczba zawodów ciągle wzrasta.

Wszystkie są potrzebne. W każdym zawodzie ludzie coraz bardziej specjalizują się, aby swoją pracę mogli wykonać jak najlepiej. Wszyscy ludzie pracujący pomagają sobie nawzajem. Są prawdziwymi przyjaciółmi, chociaż się nie znają.

Żołnierz walczy o wolność narodu. Żyje w trudzie i znoju, przelewa swą krew i często oddaje swe życie, aby inni mogli żyć szczęśliwie. Jest on obrońcą ojczyzny.

Rolnik pracuje na roli i wydobywa z niej pożywienie dla siebie, dla żołnierza, dla robotnika, inteligenta, rzemieślnika i kupca. Nazywamy go żywicielem narodu.

Robotnik, czy wykwalifikowany rzemieślnik swą pracą w kopalniach, czy fabrykach, w różnych przedsiębiorstwach, czy instytucjach użyteczności publicznej — wszędzie, gdziekolwiek pracuje, dostarcza żołnierzowi uzbrojenia, rolnikowi narzędzi pracy, a wszystkim innym różnych przedmiotów codziennego użytku. Ta nieznana masa ludzi w szarym codziennym trudzie swego życia dźwiga ciężary, by innym było lżej żyć i pracować; pracuje zabrudzona, by inni chodzili czysto i żyli zdrowo; męczy się w pocie czoła podczas upałów, by innym skwar nie dokuczał; moknie na deszczu wśród jesiennej słoty, by inni mieli sucho; marznie wśród zawiei śnieżnej, by innym było ciepło.

Spróbuj, kochana główko, nadać im imię godne ich wysiłku i poświęcenia.

A teraz przejdźmy w inną dziedzinę pracy. Oto nauczyciel uczy dzieci wszystkich obywateli. Nosi on zaszczytne miano wychowawcy narodu. W uśmiechniętych oczętach dziecka widzi on odbicie polskiego nieba. Szczęście polskiego dziecka jest dla niego szczęściem własnym. W jego sercu jest zawsze tyle radości, ile uśmiechu na twarzyczkach kochanych dzieciaków.

Każdy inteligent pracujący służy ogółowi społeczeństwa swą pracą w wykonywaniu najrozmaitszych czynności, których nikt inny załatwić nie może. Pamięta on o tym, że ma obowiązek odwzajemniać się za to, co inni robią dla niego.

Uczciwy kupiec ułatwia każdemu obywatelowi zaopatrzenie się w potrzebne towary nie z taką myślą, aby bez wysiłku zdobyć jak najwięcej pieniędzy, lecz z silną wolą opierania się takiej pokusie pracuje usilnie, by nie spaść do roli pospolitego handlarza. — — —

Ale dosyć już wymieniłem różnych rodzajów pracy; wszystkich nie sposób wyliczyć. O jednym jeszcze nie mogę zapomnieć: przyjrzyjmy się naszej mateńce, która zostaje w domu, której pracy nikt nie widzi i nie liczy, ale z której każdy korzysta. Ileż się ona napracuje, ile natrudzi, namęczy, nie dośpi i nie doje, aby tylko całą swą czeladkę obszyć, obcerować, oprać, nakarmić, napoić i uczynić jak najszczęśliwszą? I cóż to za siła, która każe jej w ten sposób postępować? Cóż to za utajona moc, która dyktuje ludziom ponoszenie ofiar na korzyść innych? Zastanów się, kochana główko i odpowiedz sobie sama.

Zauważyłaś pewnie, że każdy człowiek pracujący przynosi swą pracą pożytek nie tylko sobie, ale i całemu społeczeństwu bez względu na to, jaki zawód posiada i czym się zajmuje, jeśli tylko sumiennie spełnia swe obowiązki. Człowiek pracujący w każdym zawodzie zasługuje na szacunek nie nazwą zawodu, lecz jakością i ilością wykonywanej pracy.

Jedynie tylko próżniak nie przynosi nikomu żadnego pożytku i niczym nie może się poszczycić.

Próżniak jest pasożytem, żyjącym na koszt innych. Próżniak jest szkodnikiem, którego trzeba zwalczać. Jest on wyrzutkiem społeczeństwa. Dla próżniaka nie może być miejsca między nami. Polska szkoła wychowuje dzieci tak, aby żadne z nich nie zostało próżniakiem, jednak dzieci same muszą o tym ciągle pamiętać i szczerze, gorąco tego pragnąć. — — —

Najlepszy przykład pracowitości daje mała Bożenka..., która w ciągu półrocza przerobiła dwie klasy i doskonale daje sobie radę wśród starszych koleżanek.

Opowiada ona, że razu pewnego, gdy po długiej pracy późnym wieczorem zasnęła, to jeszcze podczas snu myślała o tym, kim będzie, gdy urośnie. — Nagle — mówi Bożenka — nie wiadomo skąd wyskoczyło jakieś okropne straszydło, wytrzeszczyło złowrogie ślepie, wyszczerzyło spróchniałe zęby, wyciągnęło zakrzywione pazury i wstrętnym, zachrypłym głosem zaskrzeczało: „Ja jestem próżniakiem, nienawidzę twej pracowitości, ja cię uduszę!"

— Rzuciło się naprzód i chciało mnie chwycić za gardło. Krzyknęłam przeraźliwie, aż się wszyscy przebudzili. Straszydło znikło. Za chwilę otwierają się drzwi sąsiedniego pokoju, ale co za dziwo: zamiast naszej jadalni — prześlicznie urządzona klasa. Kilkanaścioro dzieci siedzi w pięknych ławeczkach, a każde trzyma wiązankę kwiatów. Jedna dziewczynka stoi przed „panią" i deklamuje wierszyk. „Pani" trzyma w rękach wiązankę cudnych różyczek i uśmiecha się.

Przyglądam się tej „pani" i doznaję jakiegoś dziwnie błogiego uczucia. Tą „panią nauczycielką" jestem ja sama, ale taką dużą, jak prawdziwa pani.

Franciszek Łukasik

Z DZIEJÓW DOLNEGO ŚLĄSKA

— Oto średni bieg rzeki Odry. Tu miasto Wrocław, liczące 625 tysięcy mieszkańców. Tu rzeka Oława. We Wrocławiu na Odrze — liczne, 15 mostami połączone wysepki, stanowiące w zaraniu dziejów Śląska wygodny pomost dla karawan kupieckich, które przybywając z Dalekiego Wschodu w tym miejscu przeprawiały się z jednego brzegu Odry na drugi. Opodal Wrocławia na północny wschód sławne Psie Pole. Na zachód — związana z datą 1241 Lignica, dalej na północny zachód — miasto Głogów............

Danka rysuje mapę Dolnego Śląska, zaznaczając na niej miejscowości, które jako pola bitew o decydującym znaczeniu przeszły do historii naszego kraju. Zbyszek oparty łokciami o stół przypatruje się.

— Około Wrocławia — mówi dalej Danka — i po lewym brzegu Odry rozciąga się bardzo urodzajna nizina, gdzie mieszkańcy uprawiają pszenicę, buraki cukrowe, tytoń i warzywa wszelkiego rodzaju. Na wschód od Odry natomiast ziemia jest piaszczysta. Tu i ówdzie rosną lasy.





Zbyszek ma przed sobą otwartą książkę łacińską. W tej chwili nie uczy się, siedzi bezczynnie. Z zamyślenia budzi go Danka nagłym zapytaniem:

— Czy wiesz, czemu na Śląsku stoczono tyle bitew?

Zbyszek nie zaraz odpowiada.

— Dlatego — ciągnie dalej Danka — gdyż Śląsk stanowił jako kresowa ziemia na zachodzie teren walk z Niemcami. W walkach tych odznaczało się rycerstwo śląskie dzielnością i bohaterstwem, a zarazem wykazywało gorące przywiązanie do Polski.

Zbyszkowa łacina dzisiaj przydała mu się, gdyż potrafił przetłumaczyć Danusi kilka wyrazów łacińskich i tym sposobem dziewczynka dowiedziała się ciekawych szczegołów, z których wynika, że nazwa „Wrocław" pochodzi od księcia Ślęzan Wratysława. On to w drugiej połowie X. wieku założył osadę u ujścia rzeki Oławy na skrzyżowaniu odwiecznych szlaków karawanowych. Dalsze dzieje ziem śląskich znane są Danusi z lekcyj historii. Zapamiętała sobie, że już za czasów Mieszka I. Śląsk wchodzi w obręb Państwa Polskiego. W r. 1002 Bolesław tworzy we Wrocławiu biskupstwo. Wkrótce potem sprowadza benedyktynów, którzy zakładają pierwsze szkoły. Równocześnie staje się Wrocław siedzibą kasztelana. W okresie rozbicia książęta śląscy nie zrywają stosunków z innymi książętami polskimi, przeciwnie, w osobach Henryka Brodatego i jego syna Henryka Pobożnego dążą do zjednoczenia rozbitych dzielnic polskich pod swoim prymatem. Książęta ci, aczkolwiek starający się o dobro kraju, sprowadzają kolonistów niemieckich na ziemie prapolskie. Najgorzej pod tym względem dzieje się na Śląsku Dolnym.

— Co oznacza rok 1335, który dopiero co napisałaś?

— W tym roku wiele księstw śląskich wraz ze stolicą Wrocławiem dostaje się pod zwierzchnictwo króla czeskiego. Ten sam los spotyka później także innych książąt śląskich z rodu Piastów. Onegdaj wpadł mi do ręki pouczający artykuł, w którym autor omawia historię Śląska w ciągu ostatnich stuleci. Odczytam go.

Danka wstaje, by przynieść wycinek z czasopisma. Nagle otwierają się drzwi i roześmiana Zosia, Danusina koleżanka, wpada do pokoju, gdzie pracują dzieci.

— Narysowałaś już mapkę? — pyta.

— Przed chwilą skończyłam.

— Ja właśnie jestem przy pracy i brak mi zielonych kredek. Pożycz mi ich, proszę.

— Oto masz dwie, jaśniejszą i ciemniejszą.

— Dziękuję ci.

I już jej nie ma.

Danka wyjmuje z teczki wycinek gazetowy, rozkłada go i czyta:

— W wieku XV, kiedy potęga Polski wzrasta, daje się zauważyć dążenie do odzyskania utraconej dzielnicy śląskiej. Starania w tym kierunku czyni kanclerz Polski i biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki, lecz z małym tylko skutkiem. Pod koniec XV. wieku król czeski Władysław Jagiellończyk nadaje bratu swemu, późniejszemu królowi polskiemu Janowi Olbrachtowi, następujące księstwa śląskie: głogowskie, oleśnickie i opawskie. Z chwilą objęcia tronu polskiego traci Jan Olbracht prawo do nadań na Śląsku. Przez pięć lat rządzi księstwem głogowskim Zygmunt, brat Jana Olbrachta.

W późniejszych wiekach sprawa Śląska często jest tematem targów między królami polskimi i Habsburgami, którzy po Czechach sprawują zwierzchnictwo nad Śląskiem. Widać więc, że istnieje stały kontakt tej dzielnicy z Macierzą, a dzięki niemu żywioł polski na Śląsku zachowuje się.

Ten stan rzeczy ulega zmianie po przyłączeniu do Prus przez Fryderyka II w r. 1742 prawie całego Śląska. Król ten jest zdziwiony polskością miast i wiosek. Zdziwiony jest, że stołeczne miasto Wrocław o charakterze miasta polskiego tak niepodobne jest do innych miast niemieckich.—Trzeba zmniejszyć — pisze w jednym ze swych okólników — żywioł polski, mający tak licznych przedstawicieli w handlu i rzemiośle. Odtąd proces niemczenia postępuje naprzód na Śląsku Dolnym. Fala germanizacji zalewa szczególnie miasta. O dawnej ich polskości świadczą nazwiska o polskim brzmieniu, lecz niemieckiej pisowni, kilkadziesiąt tysięcy dokumentów polskich, umieszczonych po archiwach i muzeach oraz liczne budowle, wzniesione przez książąt piastowskich, którzy w swych sarkofagach we Wrocławiu czy Lignicy czekają chwili, kiedy ta ziemia zostanie zwrócona prawowitej właścicielce-Polsce. Na wsiach jest lepiej. Tu ludzie mówią po polsku i wiernie trwają przy zwyczajach i obyczajach polskich, przekazanych im przez przodków.

Danka składa wycinek z gazety bardzo starannie. Odda go w szkole. Artykuł o Śląsku zaciekawi całą klasę. Na ostatniej bowiem lekcji pani mówiła o Śląsku i o tym, że wracamy nad Odrę, by ziemie, opuszczone przez Niemców, korzystających z nich przez kilka wieków, ponownie objąć w posiadanie.

Joanna Markowska

Na Śląsku Opolskim

Józef Chluba wracał w rodzinne strony. Kiedyś, przed laty wywędrował z rodzicami do Polski, bo jego ojciec nie mógł pogodzić się ze swoim losem; serce jego wyrywało się za granicę, za którą pulsowało nieskrępowane i wolne polskie życie. Tu, w Oleśnie, było za dużo smutnych dla niego pamiątek. Tu podczas powstań śląskich spłynęło dużo bohaterskiej krwi. Nie wystarczyła ona jednak, by granicę przesunąć więcej na zachód i przyłączyć do wytęsknionej Ojczyzny te groby, które przygarnęły dwóch jego braci powstańców i te pola, obsiewane w czasie i po powstaniach przez dzielne kobiety śląskie. Tyle zaciętości w kobietach spotkać nie łatwo. Im to zawdzięczamy, że Śląsk po dziś dzień zachował polski charakter. Wszystkie modlą się i mówią po polsku. Sześćset lat minęło od czasu, kiedy Niemcy zrabowali narodowi polskiemu ziemię śląską. Dwadzieścia cztery pokolenia zeszły do grobu, a jednak duch polski nie przestawał żyć na tej ziemi i, ilekroć chwiała się potęga niemiecka, dochodziły z niej do Polski wołania o złączenie się z nią na zawsze.



Ratusz w Opolu

Józef Chluba wraca do ziemi jego ojców. Wraca sam na czele małej grupy ludzi należących do komisji osiedleńczej.

Jest rozrzewniony widokiem gromady Polaków, którzy nie umieją ukryć łez podczas uroczystego objęcia władzy przez polskiego starostę. Wzruszeni są do głębi także dawni działacze Związku Polaków, mający w czasie wojny za sobą lata obozów koncentracyjnych i, kiedy mają przemawiać, nie mogą dobyć głosu ze ściśniętego gardła.

Śpiew „Boże, coś Polskę'' załamuje się w krtaniach, by wkrótce zamienić się w szloch ludzi, którzy dotrwali do dnia zwycięstwa.

Śląsk Opolski wrócił do Rzeczypospolitej. Biało-czerwone chorągwie łopocą radośnie. Jakże tu pięknie nad Odrą! Ile tu ziemi, ile tu pracy!...

Przez wsie i miasta tej ziemi przeszła groza wojny, znacząc swój ślad spalonymi osiedlami i pustką we wszystkich prawie miejscowościach.

Chluba dotarł do kresu swojej podróży — Opola.

Miał lat dziesięć, kiedy przechadzał się raz z matką po Opolu, zadając jej tysiące pytań po polsku. Wpatrywał się właśnie w piastowskiego orła na wieży zamkowej, gdy ten piękny widok przesłonił mu brzuchaty Niemiec, rycząc:

— Tu się mówi tylko po niemiecku! —

Pełno było wtedy w Opolu Niemców, a Polacy ukrywać się musieli z mową przodków, polskimi obyczajami, książką lub czasopismem.

Teraz nie ma w tym mieście prawie wcale przedstawicieli tego bezwzględnego narodu. Nie ma też i zamku piastowskiego. Zachowała się tylko wieża.

Zamek zburzono w 1930 r. Zburzono nawet fundamenty, aby już nie pozostał ślad polskiego budownictwa. Ale wtedy zdarzyło się coś niezwykłego: pod fundamentami piastowskiego zamku odkryto słowiańskie osiedle. Niemcy, którzy by tak chętnie odkryć chcieli w tym miejscu jakieś dawne germańskie osiedle, sprowadzili masę robotników, mających przeprowadzić roboty wykopaliskowe. Gazety już donosiły światu o tym doniosłym odkryciu, triumfowały jednak przedwcześnie. Zaproszeni uczeni z Berlina, Pragi, Poznania, Sztokholmu orzekli jednogłośnie, że osiedle ma wszystkie cechy słowiańskie. Wtedy wstrzymano prace wykopaliskowe, zrównano ziemię i pobudowano na tym miejscu nowoczesny gmach dla urzędów.

Dzisiaj Opole przeorały pługi wojny. Na zgliszczach wypalonych lub zburzonych domów zwisają, pobrzękując na wietrze, szyldy z nazwiskami, przypominającymi polskie pochodzenie: Kosmalla, Komar, Cebulla, Gruszka, Krajan...

W ocalałym muzeum zachowały się orły piastowskie i polskie chorągwie. Zachował się także kamień szczytowy ratusza z 1411 roku z piastowskim orłem usuniętym w czasie przebudowy w r. 1936. Wybudowany na początku 15. wieku ratusz jest zupełnie nieuszkodzony. Na murach tej starej budowli plakaty obwieszczały w sposób stanowczy, że: „Śląsk Opolski był, jest i będzie polskim!"

Jaśnieją oczy na widok tych śladów polskości. Wzrusza się serce figurą Bożej męki z odłupanym częściowo napisem polskim: „Od ognia, głodu i wojny zachowaj nas, Panie."

Józef Chluba oddycha zielenią w pełni rozwiniętą. Jest niezmiernie szczęśliwy. Oto spełniły się marzenia jego ojców. Ziemia przemocą wydarta wraca do Macierzy. Jest tu dużo ziemi, starczy dla wszystkich, których nie przestrasza ogrom pracy. Jeszcze ubiegłego roku panoszył się tu wróg — dziś ziemia ta czeka na polskich osadników.

Grott Franciszek



DO GÓRNIKÓW

Nieba błękit w miastach przesłaniają dymy,
las ciemnych kominów zamyka wam świat.
Drży ziemia wstrząsana turkotem turbiny,
rośnie poszarzała nasypami hałd.

Budzi was o świcie zgiełk tysięcznych syren.
Nie alarm, nie alarm, nie naloty to —
lecz pracy to hejnał woła głosów wirem,
przeciągłym szurgotem tętni rankiem krok.

Z nocy jednej w drugiej niezgłębioną czeluść
staczacie się windą w niskim blasku lamp.
W zgrzycie świdrów trwacie, dni z nocami dzieląc,
czarni i spoceni wśród kamiennych ram.

Grzmią dźwiękiem stalowym kilofy, oskardy,
wżera się w płuc tkanki węgla czarny pył.
Wydzieracie ziemi złomy ze skał twardych
w pośpiechu, bez przerwy, ze wszystkich rąbiąc sił.

Wołają o węgiel dla pieców, o węgiel,
niecierpliwi ludzie zapatrzeni w Śląsk —
a wam od zmęczenia w oczach jasne kręgi
w tanecznych podskokach zataczają pląs.

Grott Franciszek



W kopalni węgla

Był dżdżysty lipcowy poranek, kiedy 12-letni Władek Makowski odprowadzał swego ojca do pracy. W osiedlu — pomimo wczesnej pory — dało się zauważyć na ulicach licznych przechodniów. Byli to górnicy, którzy zdążali na godzinę szóstą na swą zmianę do kopalni. Każdy w roboczym odzieniu, w kapeluszu z szerokim rondem, z latarką w ręku i torbą z pożywieniem, przewieszoną przez ramię. Szli wolnym krokiem, nieco przygarbieni, poważnie. Cały widnokrąg zasnuwały dymy z kominów fabrycznych, całe otoczenie wydawało się ponure swą monotonią węgla, cegły i żelaza.

— Tatusiu, a kiedy ja zacznę zjeżdżać tam na dół? — zapytał Władek, gdy dochodzili do szybu osobowego.

— Masz jeszcze czas — odparł Makowski. — Gdy dorośniesz, dosyć się napracujesz w kopalni. Czy myślisz, że to łatwa praca?

— To dlaczego tatuś pracuje?

— Górnikiem jestem i zostanę. Byłem tu za Niemca, przetrwało się takie okropne czasy, prześladowali nas Polaków, a wytrwaliśmy. Teraz przynajmniej wiem, że pracuję dla Polski. Węgiel jest potrzebny, bo bez niego nie pójdą koleje, nie pójdą fabryki, nie będzie czym palić, a przecież Polska musi się po prostu wszystkiego na nowo dorabiać, tak ją Niemcy okradli. Ale teraz węgla nie zabraknie, bo Śląsk cały będzie nasz. I widzisz — chociaż nasza praca górnicza jest ciężka — to wiemy, że Rząd dba o nas: mamy najwyższe płace i najlepsze wyżywienie spośród innych robotników.

— No, widzisz tatusiu, więc to dobrze, że chcę również być górnikiem.

— Ucz się tylko dobrze, a kiedy skończysz szkołę powszechną, to oddam cię do Państwowej Szkoły Górniczej w Dąbrowie i zostaniesz kiedyś inżynierem.

Władek aż klasnął w ręce z uciechy. Makowski poklepał go po ramieniu i za chwilę już zjeżdżał windą w towarzystwie innych górników w głąb kopalni. Mijali poszczególne sztolnie, rozpraszali się, spotykali wracających z pracy i co chwila słychać było górnicze pozdrowienie „Szczęść Boże".

Na dole oczekiwały na nich wagonetki małej kolejki, które podziemnymi chodnikami rozwiozły ich na miejsce pracy. Parę kilometrów wzdłuż i wszerz ciągnie się to ludzkie kretowisko, w którym wre bezustanna praca. Blask latarek górniczych, odpowiednio zabezpieczonych, by ogień nie spowodował wybuchu gazów ziemnych lub pyłu węglowego, rozświetlał niskie ganki, popodpierane stemplami ociekającymi brudną wilgocią.

Pomimo stałego dopływu powietrza, wtłaczanego przez specjalny szyb za pomocą wielkich wentylatorów, wewnątrz panowała duszność i gorąco. Górnicy pracowali rozebrani do półnaga, zroszeni potem, oddychając ciężko. Pneumatyczne świdry wdzierały się w twardą ścianę, huczały młoty, rozlegał się odgłos detonacji nabojów dynamitowych, rozrywających złoża węglowe. Niebezpieczeństwo czai się zawsze na górnika, lecz w nowoczesnych kopalniach zrobiono wszystko, by zabezpieczyć życie pracowników.

Grupka górników, w której pracował Makowski, zajęta była ładowaniem brył rozsadzonego już węgla na wagoniki, które miniaturowa maszynka elektryczna wywoziła do szybu transportowego, skąd szły dalej do sortowni. W pewnej chwili poza pracującymi rozległ się głuchy huk, a następnie szum wody. To pękła jedna ze ścianek, za którą znajdowała się żyła wodna znacznej wielkości.

Górnicy, widząc gwałtowny napływ wody, zalewającej chodnik, w pierwszej chwili stanęli bezradni, następnie jednak rzucili się do ucieczki przed strumieniem wody, który ścigał ich z głośnym pluskiem. Makowski w ucieczce potknął się o szynę kolejki i upadł. Całkowicie zmoczony dopędził jednak kolegów. Po krótkim, lecz morderczym wyścigu z żywiołem ujrzeli nadjeżdżającą maszynę z pustymi wagonikami, zasygnalizowali ją światłem, by stanęła i kolejką odjechali z miejsca niebezpieczeństwa. Zawiadomiono sztygara. Trzeba było zbędną wodę usunąć z chodnika i przyległych ganków, zalanych na znacznej przestrzeni. Sprowadzono i zainstalowano pompy, które podjęły pracę usuwania zbytecznej wody. Po przepracowaniu swej zmiany górnicy wracali zmęczeni ale zadowoleni, że skończyło się tylko na strachu.

Władek oczekiwał przed szybem. Widząc mokrą odzież swego ojca, zapytał:

— Tatusiu, gdzie się tak zmoczyłeś?

— A, bo widzisz tam na dole to śmigus jest w lipcu...

Józef Kołodziejczyk



Ojciec Gustlika

Południe. Chłopcy z krzykiem wysypali się na szkolne podwórko. Stąd rozproszyli się po różnych ulicach przemysłowego miasta. Gustlik i Paulek szli opodal hałdy, za którą mieściły się tereny kopalniane. Wspólną mieli drogę do domu.

Stanęli przy hałdzie. Lubili chodzić po niej i czuć, jak nogi grzęzną w żużlu i jak chrupi pod stopami. Z hałdy daleki widok. Widać sąsiednie kamienice i kominy kopalń i piece hutnicze, a nad wszystkim tym mgłę ciemno-szarą. Tak miło stąd rzucać kawałkami żużla! Ile razy Gustlik trafił w szybę! Ile razy za to ojciec na niego się gniewał!

Dziś rano, kiedy ojciec szedł, jak zwykle, do kopalni do pracy, groził mu, że go surowo ukarze, gdy się dowie, że znowu komuś szybę wybił.

I chociaż Gustlik przyrzekł ojcu, że nie będzie już rzucał żużlem, na hałdzie zapomniał o wszystkim. Chwycił kawał żużla do ręki. Już podniósł rękę do góry. Już miał cisnąć ciężarkiem... gdy wtem ujrzał na terenie kopalni dziwne zbiorowisko. Rękę opuszcza bezwładnie i patrzy uważnie. To kogoś na noszach wynoszą ze szybu.

Serce mu się ścisnęło na ten widok. Usiadł na samym wierzchu hałdy i w mgnieniu oka na spodenkach ześlizgnął się na dół. Pędem pobiegł w kierunku kopalni. A kiedy przystanął zdyszany, poznał na noszach bladą twarz ojca, spowitą w bandaże.

— Jezu! co się stało? Co ci ojczulku? O Jezu! a jeszcze rano gniewałeś się na mnie o te szyby! A ja znowu...

Ale ojciec nie odpowiadał! Sanitariusze wnieśli go do karetki pogotowia, która pomknęła do szpitala. Pozostali ludzie opowiadali o wybuchu gazu piorunującego w kopalni i o tym, że ojciec Gustlika zasypany został ciężkimi głazami węgla.

Gustlik nie wysłuchał ich do końca. Koniecznie musi się dostać do szpitala. Zobaczyć się z ojcem. I to natychmiast!

W szpitalu staje przed białymi, oszklonymi drzwiami, na których widnieje napis: „Sala operacyjna". Nieśmiało, drżącymi rękoma stuka do drzwi. Nikt nie odpowiada, a Gustlik czuje każde uderzenie serca. Wreszcie wychodzi starszy pan w białym fartuchu o dobrotliwym wyrazie twarzy. Głaszcze chłopca po czuprynie i mówi:

— Ojciec twój będzie żył. Trochę tu poleży, ale za kilka tygodni wyzdrowieje i powróci do kopalni.

Gustlik lżej zaczął oddychać!

— Wróci — mówi lekarz — i będzie znowu pracował, by wszystkie dzieci w Polsce miały zimą ciepło w pokoikach, by mamusia miała na czym podgrzać mleko, by fabryki mogły pracować, by pociągi przemierzyć mogły Polskę z jednego krańca na drugi. Idź, mały, spokojnie do domu! Ojciec wróci.

Gustlik wolnym krokiem poszedł do domu. Szedł w skupieniu, czapkę miał w dłoniach i rozważał: — Więc to tak! To tatuś tak, jak żołnierz! Naraził życie swoje i cierpi teraz od ran, by innym nie dokuczało zimno, by ludzie w fabrykach mogli pracować i zarabiać, by dobrze było w tej naszej Polsce.

Ludwik Bandura

Pozdrowienie Tatr

Sponad wiślanych leci fal
Wiosenny chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat,
I wszystkie łąki pozdrów wraz,
I ludzi z wszystkich chat.

Wichrze, nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I dunajcowy prąd.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj.

Kazimierz Tetmajer

Na Hali Gąsienicowej

W upalny dzień letni gromada chłopców bydgoskich wypoczywa na Hali Gąsienicowej. Przed kilku dniami przyjechali do Zakopanego, aby zwiedzić Tatry. Dziś są w drodze do Czarnego Stawu Gąsienicowego, jednego ze 115 stawów tatrzańskich, które dochodzą do 78 metrów głębokości. Powstały po stopnieniu lodowca górskiego. Wszystkie są otoczone wysokimi urwistymi ścianami skalnymi i położone bardzo malowniczo w ciszy i majestacie. W dni pogodne, kiedy lazurowa kopuła niebieska odbija się w ich gładkiej powierzchni, podobne są do niebieskich oczu, wyzierających z biało-szarego tła skalistego. Jedno z najpiękniejszych jezior to Morskie Oko, położone na wysokości 1390 metrów ponad poziomem morza.

Hala Gąsienicowa to uroczy zakątek Tatr. Chłopcom również bardzo się tu podoba. Hala pokryta jest bujną, soczystą trawą. Gorący wiatr przynosi silny zapach kwiatów, ziół i suszącego się w kopkach siana. Liczne drewniane szałasy są prawie puste. Kilka góralek zajętych jest przyrządzeniem posiłku. Dym wydobywa się swobodnie z otwartych drzwi i szczelin szałasów. Opodal pasie się kierdel owiec. Strzeże go młody juhas o wysokiej, smukłej postaci. Pięknie wygląda w swoim stroju góralskim: spodniach z białej wełny, bogato haftowanych, i guni, lekko przerzuconej przez ramię. Na nogach ma skórzane kierpce, na głowie kapelusz z paskiem białych muszelek. Ciupagę to wysoko ponad głowę rzuca, to chwyta ją zręcznie, śpiewając wesoło:



— Góral ci ja, góralicek,
mam ciupagę i zemycek...

Po drugiej stronie kotliny, w której położona jest Hala Gąsienicowa, wznoszą się majestatycznie giganty górskie o dzikich i poszarpanych turniach. Długi łańcuch rozpoczyna ciężki masyw Granatów. Opodal kopulasty szczyt Kościelca wznosi się w górę. Za Czarnym Stawem widać Zawrat.

Chłopcy wyjmują swoje zapasy żywnościowe i zaczynają jeść. Lecz nie mają czym popić. Język prawie klei się do podniebienia. Gdzieś głośno szumi potok górski, jeden, może więcej, spadając z wysoka lub przewalając swe wody z kamienia na kamień. Lecz jest niewidoczny. A pragnienie coraz się wzmaga. Toteż chłopcy rozpoczynają targ o mleko z góralką, krzątającą się około najbliżej stojącego szałasu.

— Czy można otrzymać mleka? — pytają.

Góralka po namyśle odpowiada przytakująco.

— Prosilibyśmy o mleko gotowane. Czy może być?

— A może.

— Dobrze, my tu zaczekamy.

Chłopcy czekają przeszło godzinę. Lecz nie widać ani góralki, ani mleka.

— Stasiu — woła Oleś — poszukaj góralki i zapytaj się, czy długo jeszcze mamy czekać. Ty świetnie potrafisz spełniać funkcje poselskie — dodaje z filuternym mrugnięciem powiek.

Na te słowa Staś zrywa się i zaczyna gonić Olka. Ciężkie uderzenia butów podkutych gwoździmi dudnią po hali. Aczkolwiek Staś ma dłuższe nogi, nie potrafi dogonić Olka.

— Poczekaj, wsypię ci śniegu za kołnierz — grozi i siada.

Istotnie, opodal w głębokich żlebach górskich leży jeszcze zrudziały śnieg.

Staś nie lubi, że mu się przypomina jego onegdajsze poselstwo. A było to tak: Przedwczoraj wieczorem po położeniu się do łóżek w schronisku chłopcy nie zasnęli zaraz. Rozmawiali głośno. Wtedy to pan opiekun wydelegował Stasia, który jako jeden ze starszych uczniów sypiał z dwoma kolegami w osobnym pokoju, aby chłopcom przypomniał o zachowaniu ciszy. Staś dumny był

z tak zaszczytnej misji, lecz bał się trochę. Toteż wszedłszy na salę, gdzie spoczywało owych głośnych dwudziestu, zawołał:

— Jestem posłem. Osoba posła jest nietykalna. Nie wolno mi czynić nic złego. Macie się cicho zachowywać!

W odpowiedzi na jego słowa dwadzieścia poduszek poleciało w kierunku jego głowy. Szczęściem pociski nie były zbyt twarde. Toteż Staś wyszedł cało, poniósłszy tylko moralną klęskę.

Wtem słychać wołanie góralki.

— Już mleko gotowe. Proszę je odebrać!

— Nareszcie — z ulgą mówią chłopcy.

Mleko trochę jest przypalone i czuć je dymem, lecz, że wszystkich dręczy pragnienie, smakuje wyśmienicie. Kiedy chłopcy zajęci są piciem, z pobliskiego upłazu zaczynają schodzić krowy. Wyłaniają się zza załomów skalnych, z kosodrzewiny i schodzą na drogę. Każda z nich ma dzwonek, przyczepiony do szyi. Dzwonienie różnodźwięczne rozlega się wokoło. Przed krowami idzie młoda pasterka i donośnym głosem nawołuje je, a one kroczą za nią aż na halę, gdzie się rozchodzą do poszczególnych szałasów. Honor większy paść owce w górach. Czynią to juhasi, pozostawiając dziewczętom pieczę nad krowami.

Chłopcy wstają, aby udać się w dalszą drogę. Wyjmują mapę Tatr, która jest bardzo dokładna, bo można odczytać z niej każdy szczyt, każdą drogę i ścieżkę. Lecz zdaniem chłopców posiada jeden błąd: jest to mapa o orientacji północnej, a chcąc z niej korzystać, chłopcy odwracają ją „do góry nogami". Zenek, który zna okolicę Zakopanego dokładnie, gdyż bywał tu z ojcem kilka razy, powiada:

— Niedaleko stąd jest pomnik Mieczysława Karłowicza, który zginął porwany przez lawinę. Kiedy będziemy tam przechodzili, to wam pomnik pokażę.

Chłopcy raźnie ruszają w dalszą drogę. Chcą dotrzeć do Czarnego Stawu i przed wieczorem wrócić do Zakopanego.

Joanna Markowska

JAK DRUKUJE SIĘ „ISKIERKI BYDGOSKIE"?



Każdy świeży numer „Iskierek" budzi wśród dziatwy szkolnej ogromną radość. Drobne rączęta dzieci wyciągają się ze wszystkich stron po ten upragniony skarb ojczystej mowy. Rozradowane oczy z ciekawością przeglądają obrazki, a szczebiotliwe głosiki rozbrzmiewają tytułami nowych czytanek i wierszyków.

Radosnego szczebiotu dziatwy przy takiej prawdziwej uroczystości żaden nauczyciel nie tłumi.

Niechaj się dzieci ucieszą — myśli sobie i sam choć na krótką chwilę ulega czarowi dziecięcej pogody ducha.

Po paru dniach większość dzieci przeczytała już wszystkie wierszyki, czytanki i zagadki. Podczas dalszego opracowywania czytanek najinteligentniejsze dzieci zadają różne ciekawe pytania. Wszystkie interesują się sposobem drukowania. A jest to bardzo ciekawa rzecz nie tylko dla dzieci, ale i dla dorosłych. Najlepiej byłoby, żeby każde dziecko samo mogło zobaczyć, jak odbywa się praca w drukarni. Niestety wszystkie dzieci nie mogą doznać tej przyjemności. Stoi temu na

przeszkodzie brak miejsca i czasu przy pracy drukarskiej. Wobec tego urządzamy się tak, że do zwiedzenia drukarni pójdzie na wycieczkę nieduża grupa wybranych delegatów ze starszych klas. Oni wszystko zobaczą, a pozostałym po powrocie dokładnie opowiedzą, co widzieli, a prócz tego najważniejsze zjawiska opiszą w „Iskierkach".

Umówionego dnia, o wyznaczonej godzinie wycieczka szkolna przybywa do „Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych" w Bydgoszczy. Kierownik drukarni przyjmuje nas bardzo uprzejmie, oprowadza po wszystkich oddziałach drukarni, wszystko pokazuje i objaśnia.

Najpierw wchodzimy do niewielkiej sali, gdzie pracują cztery maszyny zwane „monotypami". Przyglądamy się z ciekawością pracy „monotypisty". Naciska on palcami klawisze poszczególnych literek tak, jak na maszynie do pisania. Przy naciskaniu literek w różnych miejscach na przesuwającej się szerokiej taśmie papierowej powstają dziurki. Każdej literce odpowiada dziurka w innym miejscu taśmy. Wszystkie dziurki są jednakowe, ale wprawny składacz od razu z położenia dziurki na taśmie odgaduje, jaka tam ma być literka. Gdy cały artykuł jest w ten sposób „wydziurkowany", to taśmę zdejmuje się z tej maszyny i nawija na wałek drugiej maszyny, która sama w miejsce każdej dziurki przy pomocy powietrza „odlewa" z „metalu drukarskiego" odpowiednią literkę w postaci pojedynczych „czcionek drukarskich". — Oto tak wyglądają pojedyncze czcionki — mówi kierownik drukarni, dając nam garść nowych błyszczących czcionek. Te pojedynczo odlewane literki sama maszyna układa w wyrazy, wiersze i całe „szpalty".

Inny rodzaj maszyny do składania stanowi tak zwany „linotyp", odlewający nie pojedyncze literki, lecz całe wiersze w bloczkach. Z tych bloczków wierszowych linotypista układa „szpalty". Składacz na „linotypie" pracuje sześć razy prędzej, niż składacz, pracujący ręcznie.

Miłą niespodziankę uczestnikom wycieczki sprawia sympatyczny składacz, który w mgnieniu oka robi odlewy podawanych mu imion i nazwisk. Przy pomocy otrzymanych „linotypowych" stempelków uszczęśliwieni chłopcy i dziewczęta sami „drukują" swoje bilety wizytowe. Dziękujemy uprzejmie pracownikom tego oddziału i przechodzimy do wielkiej sali zwanej „zecernią".

Tu zecerzy, lub używając czysto polskiej nazwy składacze, układają strony pisma. Widzimy kilkadziesiąt stołów, na których stoją tak zwane „kaszty" czyli pudła z przegródkami, w których znajdują się ogromne ilości czcionek drukarskich.

W jednej przegródce leżą same „a", w drugiej same „b", w trzeciej same „c" itd. Są tu różne „kroje" liter: jedne proste, które nazywają się „antykwa", drugie pochyłe zwane „kursywą"; duże litery nazywają się „wersalikami", a małe „minuskułami".

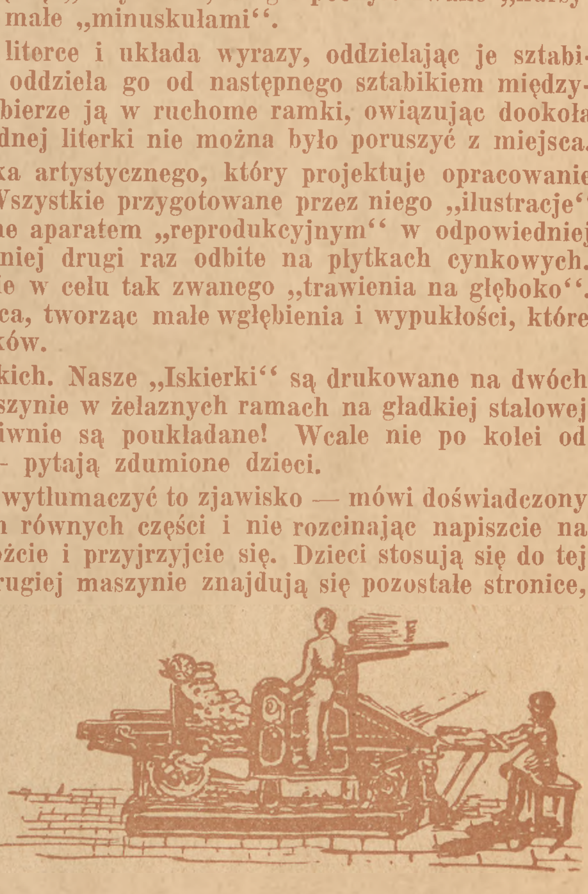
Składacz ręczny chwyta palcami literkę po literce i układa wyrazy, oddzielając je sztabikami międzywyrazowymi. Gdy ułoży wiersz, to oddziela go od następnego sztabikiem międzywierszowym. Po ułożeniu całej strony składacz bierze ją w ruchome ramki, owiązując dookoła obwodu kilka razy mocnym sznurkiem, żeby żadnej literki nie można było poruszyć z miejsca.

Niezwykle interesująca jest praca kierownika artystycznego, który projektuje opracowanie graficzne i nadaje pismu „szatę zewnętrzną". Wszystkie przygotowane przez niego „ilustracje" i „motywy zdobnicze" muszą być sfotografowane aparatem „reprodukcyjnym" w odpowiedniej wielkości najpierw na zwykłych kliszach, a później drugi raz odbite na płytkach cynkowych. Kliszę cynkową „kąpie się" w specjalnym kwasie w celu tak zwanego „trawienia na głęboko". Kwas wygryza w cynkowej kliszy właściwe miejsca, tworząc małe wgłębienia i wypukłości, które przy odbijaniu dają potrzebne cieniowanie obrazków.

Teraz przechodzimy do hali maszyn drukarskich. Nasze „Iskierki" są drukowane na dwóch wielkich maszynach równocześnie. Na jednej maszynie w żelaznych ramach na gładkiej stalowej płycie leży osiem stron „Iskierek". Ale jak dziwnie są poukładane! Wcale nie po kolei od pierwszej do ósmej, tylko inaczej. Dlaczego? — pytają zdumione dzieci.

— Jeśli chcecie dowiedzieć się same i innym wytłumaczyć to zjawisko — mówi doświadczony maszynista — to złóżcie kartkę papieru na osiem równych części i nie rozcinając napiszcie na każdej stronie jej kolejny numer, a później rozłóżcie i przyjrzyjcie się. Dzieci stosują się do tej mądrej rady i szybko rozwiązują zagadkę. Na drugiej maszynie znajdują się pozostałe stronice, ułożone w podobny sposób, jak na pierwszej.

Teraz maszynista kładzie na wierzch maszyny całą ryzę równiutko ułożonych arkuszy papieru. Przynosi dużą puszkę specjalnie przygotowanej farby drukarskiej, wlewa ją do „kałamarza" i puszcza maszynę w ruch.



Dzieci patrzą z niemym zachwytem. Mało im oczy nie wyskoczą, żeby zobaczyć wszystko z każdej strony, gdzie się co robi. Prąd powietrza podrywa jeden arkusz za drugim. Specjalne

łapki chwytają uniesiony brzeg arkusza i ściągają go w dół. Płynie arkusz za arkuszem po równi pochyłej, poruszany ruchem obrotowym gumowych wałków. Dostaje się na płytę z czcionkami, zatrzymuje na chwilkę, zostaje mocno przyciśnięty i zaraz dalej płynie, aż go z drugiej strony maszyny chwycą drewniane listewki i machną na stos wydrukowanych arkuszy, które zbiera i odnosi odbieraczka.

Przyglądamy się odbitej stronie. Wygląda ślicznie, ale świeża farba musi zaschnąć, po czym dla odbicia drugiej strony wszystkie arkusze wędrują do drugiej maszyny.

Po odbiciu i wyschnięciu drugiej strony jedna z pracownic wkłada arkusze do maszyny zwanej „łamaczką", która sama łamie i składa arkusz najpierw jednym ruchem na połowy, później drugim ruchem na ćwiartki, trzecim na ósemki, a czwartym wyrzuca pisemko w kształcie broszury. Dla nadania właściwego formatu obcina się brzegi przy pomocy potężnych noży introligatorskich.

Ostatnia praca w introligatorni polega na policzeniu ilości wydrukowanych egzemplarzy i zapakowaniu ich po dwieście sztuk do ekspedycji.

Przy tej sposobności zwiedzamy i inne oddziały Bydgoskich Zakładów Graficznych i podziwiamy ich wspaniałą pracę twórczą. Dowiadujemy się, że stoi ona na bardzo wysokim poziomie, czego najlepszym dowodem jest powierzone tym zakładom wydanie dla całego Związku Radzieckiego olbrzymiej ilości siedmiobarwnych portretów marszałka Stalina. Dalej widzimy wspaniałe, wydane w luksusowej oprawie, wielkie księgi rozkazów do Czerwonej Armii.

W innej sali widzimy drukowane na zamówienie Rządu Polskiego dla całej Rzeczypospolitej wszelkie świadectwa szkolne, podręczniki i różne pomoce naukowe. Oglądamy to wszystko z podziwem i pewnego rodzaju dumą, że to wszystko robi się tu u nas na miejscu w Bydgoszczy. Odchodząc dziękujemy serdecznie panu kierownikowi za tak miłe i bardzo życzliwe przyjęcie naszej wycieczki, z której odnieśliśmy dużą korzyść.

Franciszek Łukasik

NA DWORCU KOLEJOWYM



Mała Alinka i Jacek śpieszą z mamusią na dworzec. Dzisiaj przyjeżdża ich kochany tatuś. Nie widziały go przez cały miesiąc. Radość zatem wielka. Przed budynkiem dworcowym dużo ludzi. Chłopcy stoją z wózkami. Odwożą podróżnym bagaże. Wchodzą do hali dworcowej. Tu panuje ruch ożywiony. Mamusia spogląda na zegar. — Za dwadzieścia minut przyjeżdża pociąg z Piły. — Chodźcie, kupimy bilety peronowe. Przed okienkami kas biletowych stoją „ogonki" ludzi. I mamusia staje w rzędzie. Dzieci rozglądają się ciekawie. Jacek czyta napisy! Przyjmowanie przesyłek bagażowych. Dalej drugi napis: Kasa bagażowa. — Jacek myśli: Aha! jak będę posyłał do dziadzia paczkę, to zaniosę ją do okna pierwszego, aby mi paczkę przyjęli i zważyli, tak jak temu panu. A potem pójdę do kasy bagażowej wpłacić. Alinkę interesuje coś innego. Patrzy ona na ludzi. Pełno ich tu jest. Pod ścianami leżą na workach, siedzą na walizkach, a twarze ich takie zmęczone. Jedni śpią. Drudzy posilają się chlebem. Dzieci biegają. Obok Alinki biegnie mała dziewczynka. Sukienka na niej długa. Zaplątały się w niej nóżki. Bums! Upadła, rozciągając ręce jak żabka. Alinka podnosi ją. Patrzą na nią wdzięczne, duże, niebieskie oczy. Usteczka układają się w podkówkę — uuu... aaaa... eeeee. Płacze dziewczynka. Piąstkami zaciera oczy. Ucieka od Alinki. Mamusia woła dzieci do siebie. Bilety ma już kupione. Każdemu daje jeden. Zatrzymuje się przed trzema budkami kontrolerów. Jacek zaraz czyta: — Przejście na perony. Przechodząc, pokazują kontrolerom bilety. — Na który peron przychodzi pociąg z Piły? — pyta mama. — Na peron pierwszy — odpowiada kontroler. Schodzą po schodach do tunelu. I tu spotykają ludzi dźwigających paczki, worki, a obok nich gromadki dzieci. — A co na peronie podróżnych! Jak na targu — mówi Jacek. Krzyk, nawoływania. — Dlaczego w hali i tutaj tyle ludzi? Skąd oni wracają? Zasypują matkę pytaniami. — Widzicie dzieci — mówi mama. — Ci ludzie byli wywiezieni z Polski do Niemiec, a teraz wracają. — Wracają też i z różnych obozów, gdzie ich Niemcy pozamykali i męczyli. — A gdzie oni teraz jadą? — Do swoich rodzinnych

wiosek, miasteczek i miast. Rozmowę dzieci przerwała jakaś kobiecina z dzieckiem na ręku. — Przepraszam, z którego peronu jedzie pociąg do Poznania? — Z czwartego — mówi mama. — Trzeba przejść przez tunel i schodami na drugą stronę. Tam jest peron czwarty i ostatni. Jacek słucha i myśli: — Więc u nas są cztery perony.

Na peronie powstał ruch. Zjawił się milicjant kolejowy, krzycząc: — Usunąć się od toru! Pociąg nadjeżdża. — Fu — fu — fu — sapie lokomotywa, a za nią sunie długi wąż wagonów. Już jest na peronie. Dzieci stoją wpatrzone w otwierające się drzwi wagonów. Z daleka zobaczyły kochaną twarz tatusia. Biegną do niego. Alinka zarzuca ręce na szyję. Jacek odbiera walizkę. Wychodzą. Oddają bilety kontrolerom. W hali dworcowej ojciec zatrzymuje się. Podchodzi z dziećmi do tablicy z rozkładem jazdy kolejowej. Czyta, o której godzinie odchodzi pociąg do Piły i z którego peronu.

Odwraca się do dzieci, mówiąc: — Jacku, pobiegnij do kiosku i kup gazety. Wychodzą z hali. Mamusia radzi jechać tramwajem. Projekt ten Alusi i Jackowi bardzo się podoba.

Helena Jeszkowa

Nadchodzą żniwa





Pit! Pilit! Leci głos przepiórki nad żytnim łanem. — A co tam? — pyta Janek, idący do szkoły. — Pit! Pit! Pilit! — Jak to, nie wiesz? Żytko już dojrzało. Żąć by go się zdało. — To się wie — mówi Janek. Ale czegoż ty krzyczysz? Toć żąć nie będziesz. Taka odrobina. Śmiać się Janek zaczyna.

— Muszę przypomnieć ludziom, żeby się nie spóźnili z robotą. — A to ziarno jak złoto. Sypać się pocznie, a szkoda, by szło na marne. Piękne żytko. Nie da Bóg ludziom zginąć z głodu. Nie zajrzy do nas pani „Bieda", nie!. Ale pójdźcie żąć! Pójdźcie żąć!

— O, patrzcie ją: — rozgniewał się Janek. — Ona musi ludziom przypominać. Jakby sami nie pamiętali. Nie bój się. Wiedzą ludzie, wiedzą i bez ciebie. Myśli, że taka mądrala. Małe to, a ważnego udaje. Janek odwrócił się obrażony.

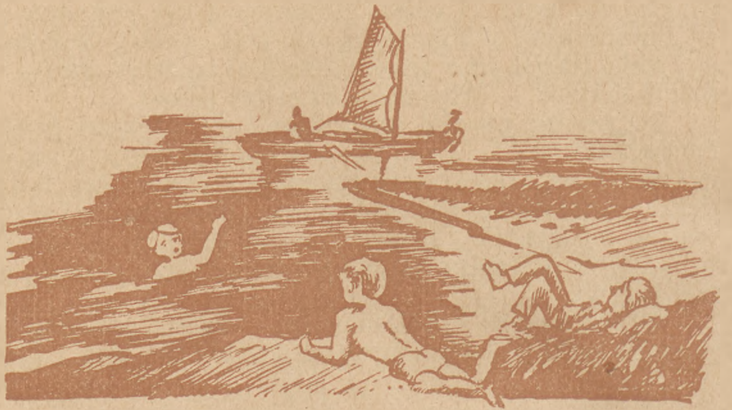
— I mała przydać się może. Nie gniewaj się, Janku. I przepiórka zalatuje to z tej, to z tamtej strony i wciąż woła. Jakby go przepraszała. Aż Janek się roześmiał i zawołał: — Jak to się gniewać na takiego utrapieńca. Ale twego przypomnienia nie potrzeba. Ludzie sami wiedzą, kiedy pora na żniwa. I Janek pobiegł do szkoły żywo. Przepiróreczka jeszcze za nim wołała. Pit! Pilit! Nie zawsze, nie zawsze! — Czasem i mój zew się przydaje. Wraca Janek ze szkoły i myśli: — Aj, jakie to żytko już złociste. Żniwa tuż, tuż. Rolnik będzie zbierał plon swej całorocznej pracy. Ale to i w szkole lekcje się kończą. Jakby też żniwa. A uroczyste zakończenie roku i rozdanie nagród, to jak dożynki. Janek aż podskoczył z uciechy, bo pomyślał, że może dostanie w szkole nagrodę. Uczył się pilnie. Żeńcy, jak dożną zboża, to pójdą do gospodarza z wieńcem kłosów ze wstążkami wkoło. Ze śpiewkami, ze śmiechami. Aj, jak będzie wesoło!

Przodownica zaśpiewa: „Żytko do dom wiodę..." A gospodarz w nagrodę poczęstuje ich hojnie. Będą tańce, muzyka, no i śmiechy, śmiechy... — Pit! Pilit! — rozległo się nagle. — Co! Znów ta przepióreczka. Jak ci... Aż tu patrzy. Tatko stoi. W palcach kłos trzyma. Ziarno wyskubuje. W zębach próbuje.

— A tatko co tu robi? — pyta Janek. — Nie widzisz to? Żytko próbuję, czy dojrzałe. Bo to przepiórka już młode z gniazdka wyprowadziła. A jak ona wyjdzie już z gniazdeczka i pit, pilit wzywa, to pora już na żniwa. Mądry to ptak. Rolnik go słucha. — A ja, tatku, tak się na niego dziś rano rozgniewałem. — A za cóż to? — Bo tak krzyczy i krzyczy. — Oj, głupi ty jeszcze, głupi. Zamiast gniewać się za to, trzeba mu podziękować, że daje znak. Przypomina ludziom. Rolnik to rozumie i wdzięczny mu jest. A choć człowiek duży, a ptak mały, nie wstyd go posłuchać. Często niepozorny i mały, do rady jest doskonały.

Ludmiła Mirońska

Nad rzeką



Rzeko lśniąca, chłodna rzeko,
szemrząca cicho wzdłuż brzegów.
Nic cię nie powstrzyma w biegu,
płyniesz daleko, daleko.

Płyną po tobie kajaki,
chłopców, dziewcząt pełne łodzie.
Miło w błękitnej pogodzie
cieszyć się życiem, jak ptaki.

Jeszcze milej parostatkiem
jechać poza dymy fabryk,
przywieźć z dala maki, chabry
i kąkoli pełne siatki.

Miło leżeć w blasku słońca,
pławić się w złotych promieniach,
pluskać się aż do zmęczenia,
skakać i biegać bez końca.

Kiedy urosnę, to może
pojadę ogromnym statkiem
po lustrzanej tafli gładkiej
hen, przed siebie, aż na morze.

Zatrzymam się może w Gdyni
i na prawdziwym okręcie
popłynę po wód odmęcie
w dale zamglone i sine.

Grott Franciszek

ZABAWY NA PLAŻY



Słońce mocno praży. Upał nie do zniesienia. Nusia, Zdzisław, Marta i Boguś śpieszą na „dziką plażę''. Marta niesie koc. Zdzisio dźwiga pas korkowy. Nusia teczkę. Mały Boguś ściska w ręku rybkę gumową. Idą prawym brzegiem Brdy — wszędzie gwarno. — Patrzcie, statek płynie, — woła Zdzisio. Wszyscy stanęli. Z dużego komina leci dym. — Pach, pach, pach. Jakże śpieszno mi. Jadę do Gdańska. Za statkiem lecą fale. Jedna drugą goni. A na nich kajaki skaczą jak łupinki orzechów. Wiosłami prują wodę. Patrzą dzieci, a plaża tuż. Biegną więc w podskokach. Zdzisław z daleka poznał swoich kolegów. Na żółtym piasku wre. Pełno śmiechu i krzyku. Jedni leżą na piasku buzią do słońca. Opalają się. Okulary czarne na oczach. Inni kopią w piasku fortece. Dziewczynki witają się z koleżankami. Rozciągają koc. Układają na nim sukienki. Już są w kąpielowych spodenkach. Czują się doskonale. Biegną do wody. Przy brzegu woda jest cieplutka i płytka. — Moje kochane, zróbcie koło! — woła Marta. — A teraz liczymy: Raz, dwa i trzy, buch do wody! Koło się zerwało. Zamoczyły się noski. Nusia już leży w wodzie. — Ale było dobrze. — Jeszcze raz tak — woła mały Boguś. — Nie, nie, teraz co innego — krzyczą inni. — Zrobimy wodotrysk — mówi Marta. — Wszyscy przykucniemy. — Boguś stanie w środku. Uderzajcie rękami wodę. Liczcie szybko: Raz, dwa, raz, dwa. Woda pryska ze wszystkich stron na Bogusia. Spływa po buzi. Włosy mokre. A Boguś stoi. Stoi, jak prawdziwy wodotrysk z figurą aniołka. — Dosyć woła Marta — będziemy pływali. Zdzich założył pas korkowy. Z dumą patrzy na dziewczynki. On umie naprawdę pływać. Dziewczynki także pływają. Biją nogami wodę, a brzuszkami leżą na piasku. Na rękach posuwają się. Ileż przy tym śmiechu! Środkiem rzeki płyną kajaki, łodzie. — To z wycieczek wracają — mówi Nusia. Śpieszą do przystani. — A cóż to? — płynie łódź bez wioseł. A buczy, warczy, jak samolot. — To motorówka — krzyczy Zdzisław. Wybiega na piasek. Za nim inni. Promyki słońca pomalowały dzieci na złocisty kolor. Jedynie mały Boguś wygląda jak rak, cały czerwony. Ruszają do domu. Po drodze Zdzisiu opowiada: — Jak urosnę, kupię łódź motorową. Zabiorę was na nią. Popłyniemy Brdą do Wisły. — A później gdzie? — pytają.

— Później Wisłą do morza i do Gdyni. Szybko minęła droga. Dzieci żegnają się.

Jutro znowu umawiają się na plażę.

Helena Jeszkowa



Na ulicach dużego miasta

Jadzia mieszka przy Alejach Mickiewicza. Z jednej i drugiej strony rosną drzewa. Cała jest asfaltowana. Tatuś mówi, że taka ulica nazywa się aleją. Dzisiaj idzie Jadzia z ciocią do babuni. Idą chodnikiem ulicy Gdańskiej. Na brukowanej jezdni ruch. We wszystkie strony jadą auta, rowery, wozy. Po szynach jadą tramwaje. Na środku jezdni, tam gdzie ulice się krzyżują, stoi milicjant. Trzyma w ręku chorągiewki. W jednej ma czerwoną. W drugiej żółtą. Jadzia stanęła i patrzy. Milicjant stale do góry unosi żółtą chorągiewkę i opuszcza w dół. Zwraca się przy tym w lewo i w prawo. — Dlaczego trzyma w ręku żółtą chorągiewkę? — Pokazuje, w którą stronę może auto jechać. Kieruje ruchem ulicznym. — A kiedy podniesie czerwoną? — O, tę podnosi tylko wtedy, gdy grozi niebezpieczeństwo. — Chodźmy, dziecko, do babci. Wstępują do kwiaciarni. — Dzień dobry, proszę o kwiaty dla mojej babci. Za te wszystkie pieniądze — mówi Jadzia. Dostała wiązankę kwiatów. — Ach, jakie ładne. Powąchaj, ciociu, jak pachną. Włożyła nosek w kwiaty i buch. Wpada na hydrant. — Cóż to znowu, ciociu? — To zbiornik z wodą. Stąd właśnie biorą wodę strażacy w razie pożaru. Biorą też stąd do polewania ulic. — Ach, tak, tak. Ja już wiem. To są takie wozy, co jadą i kropią ulice, żeby kurzu nie było. Ciocia bierze Jadzię za rękę. — Uważaj! Przejdziemy na drugą stronę. Patrzy w prawo i w lewo, czy co nie jedzie. Prosto przechodzi na drugą stronę. Na chodniku zatrzymują się. Jadzia czyta: — Przystanek tramwajowy. Przyjechał tramwaj. Wsiadają. Przejechały kilka ulic. Już są na miejscu. Wychodzi Jadzia z tramwaju. Bilet trzyma w ręku. Rzuca go do kosza metalowego. Często widziała dzisiaj te kosze na ulicach. To na odpadki, aby ulic nie zaśmiecać. Spogląda na swoje kwiaty. Uśmiecha się. Toż to niespodzianka będzie dla babci. Przechodzą przez jezdnię. Ładna jest. Cała wykładana kostką. Jadzia chce po kostkach skakać. Ciocia nie pozwala. — Na ulicy dzieciom nie wolno się bawić. Już dochodzą do kamienicy. Tu mieszka kochana babunia. Serce dziewczynce mocno bije z radości.

Helena Jeszkowa



Na targu

Klasa Staszka wybiera się na targ. Chłopcy cieszą się na tę wycieczkę. Wszyscy się ładnie umyli na dzisiejszy dzień. Mają więc czyste twarze i ręce. Buciki też są w porządku. Przy marynarkach nie brak guzików. Ustawili się dwójkami i ruszają. Pójdą kilkoma ulicami miasta. Uważnie przechodzą na drugą stronę ulicy. Już są na targu. Tu panuje ożywiony ruch. Jedni sprzedają. Dru-

dzy kupują. Gromadka ludzi otoczyła kołem jakąś kobietę. ... najśmielszy z klasy, pyta: — Co pani ma na sprzedaż? — ... odpowiada kobiecina. Dzieci zbliżają się do straganów. Są ... młoda marchewka, zielona pietruszka i inne warzywa. Wła... w swoim zeszyciku. Chłopcy dziękują i idą dalej. Znowu stanęl... Tomek. Jest najmniejszy w klasie, więc też stojąc w tyle, nic nie ... Tomka do przodu. Teraz Tomek jest zadowolony.

Kobieta ma parę skrzynek. Na nich rozłożyła swój towar przeznaczony na sprzedaż. Śmieje się do chłopców. Grzecznie objaśnia cenę przedmiotów. Władek pisze i pisze. Sznurowadła, nici, guziki, igły, szpilki, tasiemki, naparstki, ołówki. Całą stronę zapisał, a tu jeszcze nie wszystko.

Chłopcy muszą zaczekać na Władka. Rozglądają się na wszystkie strony. Chcą widzieć wszystko i wszystkich. Jakaś pani staje i pyta: — Z jakiej szkoły jesteście? Chłopcy grzecznie wyjaśniają. Władek zapisał wszystkie ceny. Klasa idzie dalej. Obchodzi rynek dokoła. Tu jakaś kobieta sprzedaje masło i jajka. Tam mężczyzna waży tytoń. W bramie domu starszy chłopiec rozłożył swoje towary. Są tam: mydełka, grzebienie, papierosy i bibułki. Nasi chłopcy szukają kwiatów. Nareszcie znaleźli. Kupują doniczkę z kwiatem za zebrane w klasie pieniądze. Doniczkę postawią w klasie na oknie. Zatrzymała ich jeszcze młoda kobieta, sprzedająca rozmaite herbaty: lipę, rumianek, miętę. Jest już późno. Chłopcy muszą wracać. Chcą zdążyć na trzecią lekcję. Mają rysunki. Narysują to, co widzieli. Wracają zadowoleni do szkoły. Mają sobie tyle do opowiadania. Chcieliby rozmawiać i opowiadać o tym, co widzieli. Ale nie wolno. Trzeba uważać na ruch uliczny. Trzeba patrzeć w lewo i w prawo, aby ludzi nie potrącić. Jutro na lekcji języka polskiego będą mówić i pisać o wycieczce. Cennik towarów przyda się w arytmetyce.

Marta Sobecka

Wakacje!



Promyczek spóźnił się do szkoły. Nie zaspał, nie był nawet chory, po prostu przez drogę przeciągały ciężkie chmury i nie mógł się przedostać. Zdyszany i smutny przybiegł do drugiej klasy i usadowił się jak zwykle, w rogu dużego okna.

— Co to? Pusta klasa. Czyżby dzieci poszły już do domu? Pofrunął do trzeciej klasy. Pusta. Do czwartej: pusta.

Co się stało? Czyżby dzieci poszły na wycieczkę? Poleciał do parku. Spotkał Basię: — Co tu robisz, Basieńko? — Odpoczywam sobie, siedzę na ławeczce i słucham, jak ptaszki śpiewają i patrzę jak gałązki drzew się kołyszą. —

— Oj, ty próżniaku, nie wstydzisz się?

— Eh, co tam — mruczy niecierpliwie Basia — idź sobie, bo się pogniewam!

Podniósł Promyczek skrzydełka w górę i poleciał dalej. Zaleciał nad staw. Tu gromada chłopców w łódkach siedzi i wiosłuje wesoło. Próbuje rozmawiać z Edkiem — ale ten nie czuje wcale ukłucia jego złocistego mieczyka. Krzyczą chłopcy, pluska woda.

— Z chłopcami się nie dogadam — myśli Promyczek — i pędzi do lasu. Na leśnej polanie bawi się dużo dzieci. Słychać wesołe piosenki. Nikt tu nie myśli o czytaniu, ani o pisaniu. Nie ma tu nawet pani nauczycielki.

Promyczek powrócił do miasta. Przyczaił się w altanie, w ogródku Geni. Niedługo czekał. Idzie Genia, w ręku ma „Iskierki".

— Przyszłaś się uczyć, Genio? — pyta.

— Eh, gdzieżby — poczytam sobie, bo mnie się trochę nudzi.

— Nie idziesz do szkoły?

— To ty nie wiesz? Wakacje mamy. Dzieci odpoczywają.

— Zrozumiał teraz wszystko. Podskoczył wesoło i cieszył się razem z dziećmi.

Grott Franciszek

Wydawca: Komitet Redakcyjny Oddziału Z. N. P. w Bydgoszczy. — Opracowanie graficzne Zygfryda Wesołka.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH E 2086